**Fabryki chaosu**

**Ukryty poza miastem biurowiec, a wewnątrz ludzie tworzący fake newsy. Wejść bez zaproszenia nie jest łatwo, wyjść – jeżeli już poznało się tajemnice – jeszcze trudniej. Tak według twórców amerykańskiego serialu Homeland miała wyglądać „fabryka trolli”. Nad wszystkim czuwał demoniczny Brett O'Keffe, sugestywnie grany przez brytyjskiego aktora Jake’a Webera. A jak wygląda rzeczywistość?**

O „fabrykach” czy też „farmach” trolli mówi się i pisze dziś przede wszystkim w kontekście działań Rosji. Zwykle pada tu nazwisko szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, generała Walerija Gierasimowa, który w artykule opublikowanym w 2013 roku wskazał na coraz większe znaczenie pozamilitarnych środków prowadzenia wojny, przede wszystkim tych związanych ze sferą dezinformacji i propagandy. Ich znaczenie w dobie internetu i mediów społecznościowych jest większe niż kiedykolwiek. Równocześnie jednak świat miliona ścieżek informacyjnych wymaga działań odpowiednio zdecentralizowanych.

**Malarze propagandy**

Kiedy po wyborach prezydenckich w USA iFrancji w zachodnich mediach zaczęły się mnożyć informacje o rosyjskich „internetowych żołnierzach”, którzy za pomocą tysięcy fałszywych kont wprowadzali w obieg niezmierzoną liczbę komentarzy – nie tylko prorosyjskich, raczej tworzących chaos i poszerzających sferę wewnętrznego konfliktu – głos zabrał sam Władimir Putin. We francuskim filmie z 2018 roku „Wojna Informacyjna. Rosja kontra Zachód” (reż. Paul Moreira) możemy zapoznać się z opinią prezydenta Rosji z czerwca 2017 roku: *Hakerzy są wolnymi ludźmi, jak malarze. Malarze wstają rano i jeśli mają dobry nastrój, to malują. Podobnie jest z hakerami. Wstają rano i czytają, co się wydarzyło na świecie. Jeżeli są patriotami, to po prostu odpowiadają tym wszystkim, którzy mówią źle o Rosji*.

***Masowy zalew fake newsów był skuteczniejszą***

***bronią propagandową niż przemówienia prezydenta.***

**Dezinformacja od kuchni**

Tymczasem w rzeczywistości mamy do czynienia z systematyczną akcją, a nie ze spontaniczną działalnością putinowskich patriotów. Niemiecki dziennikarz Boris Reitschuster mówił w wywiadzie dla „Nowego Państwa”, jak natrafił na fabrykę trolli przy pracy: „Kilka lat temu w Moskwie wspólnie z chłopakiem, który przeniknął w struktury wiernej Putinowi młodzieżówki, pracowałem nad pewnym materiałem. Opowiadał mi, jak to wygląda z trollowaniem w sieci. Kiedyś go odwiedziłem w siedzibie tej organizacji i „przypadkowo” wszedłem do pokoju, w którym było z 50 komputerów, a przy nich młodzi ludzie stukający gorączkowo w klawiaturę. Bardzo szybko mnie stamtąd wyproszono”.

Takich miejsc jest więcej. W Rosji i poza Rosją. Najbardziej znaną stała się Internet Research Agency z Petersburga. Trolle z Olgino – tak nazywa się pracujących w niej ludzi w internetowym slangu. Sama firma nie jest oficjalnie instytucją państwową, choć śledzący jej poczynania dziennikarze wskazali na liczne powiązania ze światem rosyjskiej polityki i służb. Szefem jest Jewgienij Prigożyn, człowiek do zadań specjalnych Putina, kiedyś świadczący władcy Rosji usługi gastronomiczne i nazywany „kucharzem Putina”. Od gastronomii do masowej dezinformacji droga nie jest – jak widać – bardzo daleka. Przynajmniej w Rosji. To właśnie ludzie Prigożyna mieli prowadzić w internecie działania wpływające na przebieg wyborów prezydenckich w USA. Prigożyn znajduje się na liście Rosjan oficjalnie objętych sankcjami nałożonymi przez Departament Stanu USA.

**Zasiać strach**

O tych współczesnych laboratoriach wojennych piszą dziś dziennikarze śledczy, powstają także filmy – obok wymienionego powyżej dokumentu francuskiego można wymienić np. powstałą we współpracy skandynawsko-brytyjsko-ukraińskiej „Fabrykę Trolli” (2018 rok, reż. Jakob Gottschau, Anton Breum). Film pokazuje, że internetowa ofensywa Rosjan nasiliła się po ukraińskim Majdanie. Również na użytek wewnętrzny – trzeba było przekonać Rosjan, np. o tym, że Ukraina to państwo szalejącego faszyzmu, współpracujące z islamskimi terrorystami. Masowy zalew fake newsów był skuteczniejszą bronią propagandową niż przemówienia prezydenta. A może świetnie je uzupełniał. Istotą działalności armii internetowych trolli jest fakt, że za pomocą anonimowego konta można rozpowszechniać najbardziej absurdalne i nieprawdopodobne *newsy*. Choćby takie, że Amerykanie odpowiadają za rozprzestrzenianie się nowych wirusów. Albo że szczepienia dzieci prowadzą do masowych chorób. Spreparowana informacja nie musi mieć jakiegokolwiek sensu, nawet nie musi wielu ludzi przekonać. Wystarczy, że wprowadzi chaos i strach.

***Praca w fabryce trolli? Każdego dnia należało***

***napisać osiemdziesiąt komentarzy i dwadzieścia wpisów na blogach.***

**Trollowanie za 1400 dolarów tygodniowo**

– *Byliśmy jak roboty* – wspominają dwaj byli pracownicy agencji z Sankt Petersburga, do których dotarli dziennikarze „New York Timesa”. Młodzi Rosjanie ujawnili realia pracy „trolli”. Każdego dnia należało napisać osiemdziesiąt komentarzy i dwadzieścia wpisów na blogach. Do obowiązków należało również tworzenie setek fałszywych kont społecznościowych. To wszystko w czasie dwunastogodzinnej zmiany.„Fabryka” miała dwa działy – krajowy i anglojęzyczny. Przyciągały w miarę wysokie zarobki – do 1400 dolarów tygodniowo. Każdego dnia przychodziły instrukcje w sprawie tematów – Ukraina, wojna w Syrii, agresywna polityka USA... Przeszkadzała – przynajmniej zdaniem młodych Rosjan indagowanych przez amerykańskich dziennikarzy – nuda. Jeżeli nie wzruszą nas skargi Siergieja i Aleksieja na nużący tryb pracy, zastanówmy się, po co Rosji ta machina. Czy na przykład wsparcie dla określonych polityków na zachodzie jest bardziej wsparciem tych właśnie osób, czy raczej sytuacji, które mogą powiększyć wewnętrzne rozdźwięki wewnątrz świata zachodniego. To pytanie jest szczególnie istotne w kontekście amerykańskim. Zwłaszcza że narracja przeciwników Donalda Trumpa o prezydencie wybranym przez rosyjskich hakerów mało kogo przekonuje w tej chwili w samej Ameryce.

Niezależnie od tego, na co liczyli Rosjanie, ingerując w przebieg amerykańskiej machiny wyborczej, atlantyckie mocarstwo postanowiło się bronić.Jak ujawnił w lutym „Washington Post” podczas ostatnich wyborów do Kongresu informatycy pracujący dla amerykańskich sił zbrojnych zablokowali działania Internet Research Agency. Ta „cyfrowa ofensywa” odbyła się w dzień elekcji, 6 listopada 2018 roku i trwała podczas liczenia głosów. Według waszyngtońskiej gazety amerykańskie służby odcięły Rosjan od dostępu do internetu w USA. Równocześnie pracownicy rosyjskiej agencji zostali zasypani wiadomościami, mailami i wszelkimi innymi sygnałami. Chodziło o uświadomienie „trollom”, że każdy z nich jest znany służbom USA.

„Fabryka” z Sankt Petersburga ma zatem kłopoty, podobno musiała nawet zmienić siedzibę, bo właściciel biurowca skarżył się na zbyt częste fałszywe alarmy bombowe. Przede wszystkim jednak stała się zbyt znana. Nie łudźmy się jednak, że to zakończy wojnę w wirtualnym świecie. Zasoby Kremla są niezmierzone, a kandydatów na kolejnych „internetowych patriotów” z łatwością znajduje się na przykład w okołokremlowskich organizacjach młodzieżowych. Do dyspozycji są też medialne fabryki propagandy jak wielojęzyczna telewizja RT czy chętnie odwiedzany także przez niektórych polskich polityków portal Sputnik.

Warto zauważyć, że „fabryki trolli” nie muszą istnieć tylko w samej Rosji. Wspomniany już niemiecki publicysta Boris Reitschuster mówił w „Nowym Państwie” o rosyjskiej infiltracji w Niemczech i rekrutowaniu zwolenników m.in. pod pozorem tworzenia szkół walki, też wśród wracających do Republiki Federalnej Niemców nadwołżańskich. Oczywiście tego typu grupy mogą być przygotowywane do działań w „realu” (np. w antyimigranckich i zupełnie przypadkiem proputinowskich demonstracji), ale znający dobrze rosyjskie metody Reitschuster wskazuje także na ich wykorzystanie w różnych działaniach hybrydowych.

Fabryki pracują, nie tylko rosyjskie, chociaż w wypadku Rosji ta nowoczesna wojna doskonale pasuje do rodzimej tradycji. Tradycji starszej niż rozważania generała Gierasimowa, bo sięgającej czasów, gdy Moskwa uczyła się sztuki dezinformacji i chaosu od mongolskich najeźdźców. A sam Gierasimow? Ostatnio powiedział, że sytuacja się zmienia, środki „asymetryczne” mogą nie wystarczyć i trzeba być gotowym do wojny na wielką skalę. Czy te pogróżki to tylko kolejny element wojny informacyjnej? Być może...

Artykuł pochodzi ze strony www.gazetakoncept.pl